

Tłum składał się ze stu trzech dzieciaków. Najmłodsze miało roczek, najstarsze – piętnaście lat. Sam pomyślał ze smutkiem, że nigdy wcześniej żadna dziecięca publiczność nie wyglądała w ten sposób.

Każdy, kto skończył pięć lat, miał przy sobie broń. Widział noże, maczety, kije bejsbolowe, pałki najeżone kolcami, łańcuchy i pistolety.

Nikt nie był modnie ubrany – przynajmniej nie według normalnych standardów. Dzieci nosiły rozłożące się w szwach koszulki i o kilka numerów za duże dżinsy. Niektóre zarzuciły na siebie poncza zrobione z koców. Wiele z nich było na bosaka. Próbowaly ozdobić swoje stroje piórami wetkniętymi we włosy, dużymi pierścionkami z diamentami, które przymocowywały taśmą, plastikowymi kwiatami, bandanami, krawatami i szelkami, niektóre miały pomalowane twarze.

Ale przynajmniej były czyste. Znacznie czystsze niż w Perdido Beach, niemal rok wcześniej. Przeprowadzka nad Jezioro Tramonto zapewniła im właściwie nieskończone ilości świeżej wody. Mydło i detergenty dawno się pokończyły, ale woda sama w sobie działała cuda. Można było wejść w tłum dzieci i nie wymiotować od smrodu.

Gdy słońce zachodziło, a cienie stawały się coraz dłuższe,

Sam zauważał rozrzucone pety. Mimo ich starań małe grupki dzieciaków podawały sobie też butelki alkoholu – firmowego lub pędzonego w domach. Pewnie gdyby mu się chciało, wyczułby też zapach marihuany.

Generalnie rzeczy miały się jednak lepiej. Dzięki roślinom, które uprawiali, rybom łowionym w jeziorze i jedzeniu, które przynieśli z Perdido Beach, nikt nie głodował.

Było to niezwykle osiągnięcie.

No i był jeszcze projekt Sinder, kryjący w sobie niesamowity potencjał.

Dlaczego więc wciąż wydawało mu się, że coś jest nie tak? To było coś więcej niż przecucie. Jakby prawie coś zobaczył. Albo jeszcze mniej. Jak wrażenie, że powinien być coś zobaczyć, że zobaczyłby coś, gdyby tylko wystarczająco szybko się obrócił.

Właśnie tak. Jakby coś stało tuż poza jego polem widzenia. Kiedy się odwrócił, wciąż widział to kątem oka.

To coś patrzyło na niego.

W tej chwili.

– Paranoja – wymamrotał Sam. – Powoli ci odbija, stary. Albo może wcale nie tak powoli, skoro już gadasz do siebie.

Westchnął, pokręcił głową i zmusił się do uśmiechu, w nadziei, że wypełni on też jego wnętrze. Odzwyczał się od takiego... spokoju. Cztery miesiące spokoju. Do licha!

Sam usłyszał kroki na skrzypiących schodach. Drzwi otworzyły się.

– Diana – powiedział. Wstał i wskazał jej krzesło.

– Naprawdę nie trzeba – powiedziała Diana. – Cięża to nie kalectwo.

Ale i tak usiadła.

– Jak się czujesz?

– Moje cycki są nabrzmięte i bolą – powiedziała. Odchyliła głowę w bok i spojrzała na niego z odrobiną czułości. – Rumienisz się? Serio?

– Nie rumienię się. Chodzi o to... – Sam nie wiedział, o co właściwie chodziło.

– No dobra, to nie będę ci opowiadać o gorszych rzeczach, które dzieją się teraz z moim ciałem. W każdym razie na szczęście nie rzygam już co rano.

– No tak. To dobrze – zgodził się Sam.

– Za to bez przerwy sikam.

– Ach.

Ta rozmowa sprawiała oczywiście, że czuł się bardzo niezręcznie. Mówiąc szczerze, sama obecność Diany sprawiała, że czuł się niezręcznie. Pod jej koszulką rysował się

dobrze już widoczny brzuszek, a jednak była równie piękna jak zawsze i wciąż uśmiechała się wyzywająco.

– Chciałbyś pogadać o ciemnieniu brodawek?

– Nie. Błagam cię, nie.

– Tyle tylko, że jest trochę za wcześnie na to wszystko – powiedziała Diana. Chciała, żeby zabrzmiało to beztrzesko, nie udało jej się jednak.

– Mhmmm...

– Mam mnóstwo książek o ciąży i przeczytałam w nich, że nie powinnam być taka wielka. Nie w czwartym miesiącu.

– Wyglądasz okej – powiedział Sam z odrobiną desperacji w głosie. – To znaczy naprawdę dobrze. Lepiej niż dobrze. No wiesz, pięknie.

– Podrywasz mnie? Serio?

– Nie! – zawołał Sam. – Nie, nie, nie, nie. Nie o to... – przerwał i zagryzł wargę.

Diana roześmiała się rozkosznie.

– Tak łatwo zrobić sobie z ciebie ubaw. – Potem nagle spowaźniała. – Słyszałeś kiedyś o obliczaniu ruchu?

– Jak w fizyce?

– Nie. Nie, Sam, chodzi mi o obliczanie ruchu płodowego.

– Ach. O to.

– Daj mi rękę – powiedziała Diana.

Był absolutnie pewien, że nie ma najmniejszej ochoty podawać jej ręki. Dręczyło go paskudne przeczucie co do tego, co zamierzała z nią zrobić. Nie miał jednak pojęcia, jak jej odmówić.

Diana popatrzyła na niego niewinnie.

– No dawaj, Sam. Ty zawsze potrafisz znaleźć jakieś rozwiązanie w sytuacji podbramkowej. Naprawdę nie umiesz wymyślić jakiejś wymówki?

Zmusił się do uśmiechu.

– Próbuję. Pustka.

– No to daj mi rękę.

Posłuchał, a ona położyła jego dłoń na swoim brzuchu.

– Yy, no tak. To jest brzuszek ciążowy.

– Świetnie, właśnie tego potrzebowałam: potwierdzenia. Poczekaj chwilę... O!

Poczuł to. Ruch pod jej rozciągniętą skórą.

Uśmiechnął się słabo i wycofał dłoń.

– Ruch płodowy, tak?

– Tak – odpowiedziała poważnie Diana. – Nawet więcej. Nazwałabym to kopnięciem. I wiesz co? To zaczęło się jakieś trzy tygodnie temu, w trzynastym tygodniu ciąży. Pewnie myślisz sobie: no i co z tego? Ale chodzi o to, że wszystkie ludzkie dzieci rosną mniej więcej w tym samym tempie. Jak w zegarku. I ludzkie dzieci nie zaczynają kopać w trzynastym tygodniu.

Sam zawahał się, nie wiedząc, czy powinien zwrócić szczególną uwagę na słowo „ludzkie”. Niezależnie od tego, czego bała się i co podejrzewała Diana, nie chciał, żeby był to jego problem.

Miał już na głowie całe mnóstwo problemów. Odległych problemów: na opuszczonym kawałku plaży leżał kontener pełen pocisków rakietowych. Z tego, co wiedział, jego brat Caine jeszcze ich nie znalazł. Gdyby Sam próbował je gdzieś przenieść, a Caine by się o tym dowiedział, prawdopodobnie wybuchłaby wojna między nimi a Perdido Beach.

Były też problemy bliższe jego sercu: Brianna odkryła kryjówkę Astrid w Stefano Rey. Sam wiedział, że Astrid wciąż żyje. Doniesiono mu, że po bitwie z robalami i Wielkiej Schizmie, która rozdzieliła dzieciaki z ETAP-u na grupę z Perdido Beach i grupę znad Jeziora Tramonto, przez jakiś czas ukrywała się niedaleko elektrowni.

Dowiedział się też, że później zatrzymała się w odwróconej przyczepie Winnebago na jednej z bocznych dróg.

Cierpliwie czekał na jej powrót. Ona jednak nie wróciła i przez trzy miesiące nie miał o niej żadnych wieści.

Aż wreszcie, ledwie dzień wcześniej, zlokalizowała ją Brianna. Nadprzyrodzona szybkość Brianny pozwalała jej efektywnie przeczesywać drogi, jednak poszukiwania w lesie zajmowały jej więcej czasu: kiedy przekracza się sto kilometrów na godzinę, potknięcie się o korzeń drzewa może być bardzo niebezpieczne.

Poszukiwania Astrid nie były oczywiście głównym zadaniem Brianny. Było nim znalezienie stwora złożonego z Drake'a i Brittney. Od dawna nikt nie słyszał nic o Drake'u, jednak nikt też nie wierzył, że umarł. Nie mógł umrzeć naprawdę.

Sam niechętnie powrócił do rozmowy z Dianą.

– Odczytałaś moc dziecka?

– Dziecko ma trzy kreski – powiedziała Diana. – Za pierwszym razem wyczułam dwie, więc ciągle rośnie.

Sam był zszokowany.

– Trzy kreski?

– Tak, Sam. On, ona albo to jest mutantem. Potężnym mutantem. Coraz potężniejszym.

– Mówiłaś już o tym komuś?

Diana pokręciła głową.

– Nie jestem głupia, Sam. Caine już by tu był, gdyby się tylko dowiedział. Byłby gotów zabić nas oboje.

– Swoje własne dziecko? – Samowi trudno było uwierzyć, by ktokolwiek, nawet Caine, był tak okrutny.

– Może i nie – odparła Diana. – Kiedy mu powiedziałam, bardzo wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Chyba zrobiło mu się niedobrze na samą myśl. Ale wtedy nie wiedział jeszcze, że to potężny mutant. Więc może po prostu nas porwie. Albo będzie chciał zabić dziecko, albo sprawować nad nim kontrolę. Każda inna droga byłaby... – przez chwilę szukała odpowiedniego słowa – poniżająca.

Sam poczuł, jak skręca mu się żołądek. Przez cztery miesiące żyli w spokoju. W tym czasie Sam, Edilio i Dekka zajęli się budową czegoś w rodzaju na wpół wodnego miasta. Zwłaszcza Edilio – on rozdzielił barki, żaglówki, motorówki, kampery i namioty. Zajęli się kopaniem szamba.

By uniknąć chorób, kopali z dala od jeziora. Dla bezpieczeństwa wymyślili też system holowania wody z brzegu i zabraniali komukolwiek pić ze zbiorników, w których myli się i pływali.

Prace postępowały głównie dzięki spokojnemu autorytetowi Edilia. Nominalnie przywódcą był Sam, jednak jemu nie wpadłoby do głowy, by poświęcać tyle uwagi kwestiom sanitarnym.

Kutry rybackie, których załogi Quinn przyuczył jeszcze w Perdido Beach, codziennie przywoziły całkiem przyzwoite połowy. Na grządkach przy barierze posadzili marchewki, pomidory i dynie, które pięknie dojrzewały pod opieką Sinder.

Schowali pod kluczem cenne zapasy nutelli, zupek w proszku i pepsy, które stanowiły walutę, pozwalającą im kupić więcej ryb i małży od dzieciaków z Perdido Beach, gdzie wciąż łowili ludzie Quinna.

Wynegocjowali też kontrolę nad częścią pól, więc raz na jakiś czas trafiały im się karczochy, kapusta, a nawet melony.

Handlem między jeziorem a PB zarządzał Albert, natomiast codzienna organizacja życia nad Jeziorem Tramonto należało do Sama. Czyli w praktyce do Edilia.

Niemal od początku ETAP-u Sam żył fantazją o czymś w rodzaju swojego osobistego dnia sądu. Wyobrażał sobie, jak staje przed członkami trybunału, którzy spoglądają na niego z góry i żądają, by uzasadnił wszystko, co zrobił.

Żeby wytłumaczył się z każdego błędu.

Żeby usprawiedliwił śmierć wszystkich, których ciała pochowano na rynku w Perdido Beach.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy te wyimaginowane konwersacje pojawiały się w jego głowie nieco rzadziej. Pomyślał, że może sędziowie zauważą, też kilka rzeczy, które zrobił dobrze.

– Nie mów nikomu – ostrzegł Sam. – Czy myślałaś o... – zaczął po chwili – Cóż, chyba nie mamy pojęcia, jaką moc będzie miało dziecko.

Diana uśmiechnęła się ironicznie.

– Pytasz, czy zastanawiałam się, czy dziecko umie palić różne rzeczy tak jak ty? Czy ma telekinetyczną moc swojego ojca? Albo całe mnóstwo innych umiejętności? Nie, Sam, nie zastanawiałam się nad tym, co się stanie, kiedy on, ona albo to będzie miało gorszy dzień i wypali we mnie wielką dziurę.

Sam westchnął.

– On albo ona, Diano. Nie „to”.

Spodziewał się jakiejś dowcipnej odpowiedzi, jednak samokontrola Diany zdawała się słabnąć.

– Jego ojciec jest zły. Jego matka również – wyszeptwała. Wygięła palce tak mocno, że musiało ją to zabolec. – Czemuż ono nie miałyby być właśnie takie?

Drake przyzwyczał się do ciemności, do tego, że widzi tylko blade, zielone światło swego władcy, gaiaphage.

Znajdowali się dziesięć mil pod ziemią. Panował tu upał. Gorąco, brak wody i powietrza powinny były go zabić. Drake nie był jednak żywy w zwykłym znaczeniu tego słowa. Trudno zabić coś, co częściowo jest już martwe.

Minęło dużo czasu. Ale ile? Może dni, może lata. W tym miejscu nie dawało się odróżnić dni od nocy. Istniała tylko ciągła świadomość wściekłego, sfrustrowanego umysłu gaiaphage. W czasie, który spędził pod ziemią, Drake dobrze poznał ten umysł. Był nieustannie obecny w jego głowie. Dręczący głód. Pragnienie. Ciągłe, głębokie, niezmiennie pragnienie.

Gaiaphage potrzebował Nemesis.

Przyprowadź do mnie Nemesis.

A Nemesis – Petera Ellisona – nie sposób było znaleźć.

Drake przekazał gaiaphage, że Mały Pete umarł. Zniknął. Jego siostra, Astrid, rzuciła go robalom, a ogarnięty paniką Mały Pete sprawił, że zniknął nie tylko najbliższy, bezpośrednio zagrażający mu robak: zniszczył cały gatunek.

Był to szokujący pokaz niepojętej mocy Małego Pete'a. Pięcioletni autystyczny, zarozumiały bachor był najpotężniejszą istotą w całej tej wielkiej bańce. Na jego drodze stał tylko jego dziwny, chory umysł. Mały Pete miał wielką moc, ale sam o tym nie wiedział. Nie potrafił planować, nic nie rozumiał. Mógł tylko reagować.

Reagować z gigantyczną, niewyobrażalną siłą. Jak niemowlak, który bawi się bombą atomową.

Nemesis przerażał gaiaphage. A jednak był mu potrzebny.

Kiedyś Drake zapytał: „Dlaczego?”

Muszę się narodzić.

Potem gaiaphage torturował go uderzeniami przerażająco wyrazistego bólu, karząc go za to, że odważył się zadać pytanie.

Odpowiedź była jednak gorsza od bólu. „Muszę się narodzić”. Było w niej coś ponurego, coś przerażającego. Potrzeba wykraczająca poza zwykłe pragnienie i wywołująca lęk.

Jego bóg nie był wszechpotężny. Zaszokowało to Drake'a. Oznaczało, że gaiaphage wciąż może ponieść klęskę. A co się z nim wtedy stanie?

Czy przysiągł posłuszeństwo umierającemu bogu?

Drake starał się głęboko ukryć strach. Gaiaphage mógłby go wyczuć, gdyby skierował na niego swoją uwagę.

Mijały jednak kolejne, niezliczone dni, podczas których nieprzerwanie wsluchiwał się w desperację i wściekłość gaiaphage, i zaczął mieć wątpliwości. Jakie miejsce zajęłyby we wszechświecie, w którym nie byłoby już gaiaphage? Czy wciąż byłby nieśmiertelny? Czy porażka gaiaphage oznaczałaby dla niego unicestwienie?

Drake żałował, że nie może porozmawiać o tym z Brittney. To jednak było absolutnie niemożliwe. Brittney od czasu do czasu wyłaniała się z rozpadającego się ciała Drake'a, przejmując nad nim kontrolę. A wtedy Drake przestawał widzieć, słyszeć i czuć. Wtedy przenosił się do świata ciemniejszego jeszcze od podziemnego legowiska gaiaphage. Tak ciasnego, że dusił duszę Drake'a.

Wyglądało to więc mniej więcej tak: potężny napór pragnienia gaiaphage, niemożność zrozumienia, co powinien zrobić, a potem nieistnienie, pustka, otchłań.

Drake wypełniał czas fantazjowaniem. Wspominał ból, który wywołał bicowaniem Sama. I w szczegółach planował ból, który jeszcze sprawi. Astrid. Dianie. Zwłaszcza im dwóm, ale także Briannie, której serdecznie nienawidził.

Podziemne legowisko ulegało zmianom. Kilka tygodni wcześniej w podłodze – w dolnej granicy bariery – zaszła pierwsza z nich. Nie była już perłowoszara. Poczerniała. Zauważył przy tym, że ciemna powierzchnia pod jego nogami nie jest już tak gładka jak wcześniej. Fragmenty gaiaphage, które opierały się o barierę, również zrobiły się czarne. Na razie plama ta była niewielka, jakby ktoś wylał czarną kawę na odblaskowo zieloną, rozciągniętą gąbkę.

Drake zastanawiał się, co to oznaczało, ale nie zapytał o to.

Nagle poczuł gwałtowne poruszenie umysłu gaiaphage.

Jakby ktoś poraził go prądem.

Czuję...

– Nemesis? – Drake zwrócił się do świecących na zielono ścian jaskini.

*Położ na mnie dłoń.*

Drake odskoczył. Kilka razy dotknął gaiaphage. Nie było to przyjemne doświadczenie. Głęboka świadomość obecności gaiaphage przy fizycznym kontakcie z nim stawała się jeszcze silniejsza i straszniejsza.

Drake nie miał jednak wystarczająco dużo silnej woli, by odmówić. Rozwinął długą na dziesięć stóp mackę. Podszedł do okazałej bryły wścieklej, zielonej mazi, do tej części, która wydawała mu się środkiem. Do głowy owej bezgłowej przecież, pozbawionej jakiegokolwiek środka istoty. Ostrożnie dotknął jej swoim biczem.

– Aaaach!

Ból był nagły i ostry. Rzucił go na kolana. Drake otwierał oczy szeroko, coraz szerzej, aż wydało mu się, że zrywa z siebie skórę całej twarzy.

W jego głowie eksplodowały obrazy.

Obraz ogrodu.

Obraz jeziora ze spokojnie unoszącymi się na nim łodziami.

Obraz pięknej, ciemnowłosej dziewczyny o wykrzywionym uśmiechu.

Zabierz mnie do niej!

Drake od miesięcy mówił bardzo mało. Jego gardło było wysuszone, język dziwnie ciężki w ustach. Wydobył z siebie chrapliwy szept.

- Diana.